

Zemsta z młotkiem

TEATR

Sztuka Williama Mastrosimone „Aż do bólu” traktuje o tym, jak ofiara przeistacza się w kata, jak agresja i przemoc wyzwalają w człowieku zbrodnicze instynkty. To problem uniwersalny. Mastrosimone, współczesny amerykański dramaturg, wpisał ów problem w ramy bardzo współczesne i konkretne. Odwołał się mianowicie do amerykańskiej obyczajowości i prawodawstwa, które - o paradoksie - praktycznie zapewnia bezkarność gwałciicielom. Bohaterka dramatu, Marjorie, brutalnie zaatakowana we własnym mieszkaniu przez niejakiego Raula, nie pada ofiarą gwałtu. Raul „jedynie” usiłuje tego dokonać, nie szczędząc swej ofierze bólu i upokorzenia. Kiedy Marjorie udaje się zapanować nad sytuacją i obezwładnić napastnika, zaczyna rozumieć swe beznadziejne położenie. Ona bowiem znajduje się na z góry przegranej pozycji, nie mogąc liczyć na to, że jakkolwiek sąd wymierzy jej prześladowcy sprawiedliwość. On o tym doskonale wie. W nakreślonym przez siebie scenariuszu ewentualnej rozprawy wyklucza wyrok skazujący. I obiecuje kobiecie, że powróci, by się zemścić. Marjorie, złapana w pułapkę bezsilności i buntu, próbuje więc zemsty na własną rękę, dając jednak Raulowi pewną szansę, z której ten cyniczny recydywista nie chce skorzystać...

Dramat Mastrosimone, z oczywistych powodów nader żywo odbierany w Stanach, doczekał się swej polskiej prapremiery na sopockiej scenie Teatru „Wybrzeże”. Spodziewano się po tej sztuce wiele i nie bez powodu. Ostatecznie sam temat - drażliwy, niezależnie od geograficznej szerokości - oraz sposób jego ujęcia zdawał się godny zaprezentowania, a dramat

uznanego współczesnego autora - wart przyswojenia. Pierwsze sceny spektaklu wyreżyserowanego przez Adama Orzechowskiego potwierdzają te wszystkie nadzieje. Duży ładunek dramatyzmu, groza, napięcie i dobre tempo zapowiadają sztukę świetnie napisaną, żywą i nieobojętną. Dobry początek i dobre zakończenie to jednak za mało, by całe przedstawienie uznać za udane.

Oglądając spektakl - który najpierw zaciekawia, a potem konsekwentnie rozczarowuje i nawet nuży, by w finale coś tam jeszcze ratować - zastanawiałam się, gdzie tkwi błąd. W samym tekście, którego oryginału nie znam, czy w tłumaczeniu, które chyba nie jest najlepsze? W samej sytuacji, odwołującej się do innych realiów, a zatem mimo wszystko niezrozumiałej? W wypadającej dość fałszywie - w sensie psychologicznym - postawie dwóch koleżanek Marjorie? W szczególnie i raczej chybnym, przynajmniej z naszego punktu widzenia, poczuciu humoru, reprezentowanego zwłaszcza przez Raula? W reżyserskiej nieporadności? Na każde z tych pytań można odpowiedzieć twierdząco.

Umówmy się jednak, że determinację bohaterki - znęcającej się nad niedoszłym gwałciicielem i z rzadką perfidią wymierzającej mu „karę” pogrzebaczem, żelazkiem, żrącym środkiem do zabijania owadów, postępującą w myśl zasady „oko za oko” - uznamy za studium budzenia się zła, wyzwalań najgorszych instynktów. Marjorie, którą gra Dorota Kolak, tak właśnie swe zadanie traktuje. Robi co może, aby tę postać ocalić, uwiarygodnić. To się udaje mimo scenariuszowych mielizn. Marjorie jest zalotna, przerażona, zdruzgotana, zszo-

kowana, szalona w nieprzemyślnym dążeniu do rzucenia swego wroga na kolana. Zdesperowana i tajemnicza, walcząca z bandytą i z samą sobą. Aktorstwo Doroty Kolak broni bohaterkę przed śmiesznością. Marjorie jest tragiczna. Jej oprawca (Zbigniew Olszewski) to cwaniak w masce błazna, z którym wygrać można tylko, uciekając się do ostateczności. Koleżanki - Terry (Maria Mielnikow) i Patricia (Alina Lipnicka) są właściwie świadkami tego pojedynku, w którym mroki ludzkiej duszy i rozdzierający dramat zys-

skują na scenie nadmierną chybą wizualną ekspresję i to w stylu dość komiksowym. Naturalizm tortur, mających mieć kres w ogrodowej mogile „między pomidorami a klombem”, przeraża przez chwilę, a następnie wywołuje efekt wprost przeciwny. Tak jak pogrzebacz czy młotek w rękach zdesperowanej Marjorie. Jak kolacja z winem, do której zachęca Patrycja, jakby nic się nie stało. Jak owo „przecież wszyscy jesteśmy ludźmi”, wypowiedziane przez maltretowanego Raula.

Anna Jęsiak



Teatr „Wybrzeże”: William Mastrosimone, „Aż do bólu”. Przekład - Włodzimierz Kaczkowski, reżyseria - Adam Orzechowski, scenografia - Anna Maria Rachel, muzyka - Andrzej Głowiński. Premiera 15 stycznia 1994 roku w Teatrze Kameralnym w Sopocie.

Fot. M. Bramorska-Fogiel